



Budżet obywatelski tak, ale... (7 stycznia 2014)

2014-01-07

Ostatnie dni prac nad budżetem miasta na 2014 rok ponownie ożywiły dyskusję nad budżetem obywatelskim. Opinie na ten temat, jak czytam w mediach, są jednoznacznie entuzjastyczne. Ponieważ mój entuzjazm nie jest wyrażany aż tak żywo, jak to robią niektórzy radni i dziennikarze, wysnułi oni wniosek, że jestem przeciwnikiem takiego rozwiązania. To nieprawda - pomysł budżetu obywatelskiego uważam za dobry, ale nie przeszkadza mi to w stawianiu pytań.

Zanim ktoś zacznie wypominać naszemu miastu, że pod względem dzielenia pieniędzy przez mieszkańców jest daleko w tyle, to powinien pamiętać, że to właśnie Kraków wiele lat temu - gdy nikomu w Polsce o budżetach partycypacyjnych jeszcze się nie śniło - wprowadził zasadę, że pieniądze na najpilniejsze wydatki w poszczególnych dzielnicach nie powinny być dzielone odgórnie, przez radę miasta, tylko odpowiednie sumy powinny być przekazywane do dyspozycji rad dzielnic i radni, po konsultacjach z mieszkańcami, powinni wskazywać najpilniejsze zadania. Na tym właśnie polega demokracja - mieszkańcy wybierają swoich przedstawicieli w wyborach, by ci, w ich imieniu podejmowali ważne decyzje. Dlatego co roku w budżecie miasta zostaje wydzielona kwota ok. 50 mln złotych dla dzielnic. Na ile w praktyce ta kwota jest dzielona wspólnie z mieszkańcami? Wiem, że w wielu dzielnicach mieszkańcy mają wpływ na decyzje swoich radnych. Wiem też, że w innych dzielnicach z komunikacją na linii radni - mieszkańcy bywa gorzej, co powinno być powodem do zastanowienia się przy urnie wyborczej nad swoimi przedstawicielami. Cóż, jak zawsze wszystko zależy od ludzi, ale jak widać z oddaniem części swoich kompetencji do dzielnic ani prezydent, ani rada miasta nigdy problemu nie mieli. Co więcej, krakowski model dzielenia pieniędzy przez dzielnice w porozumieniu z mieszkańcami jest dosyć często (co można znaleźć szperając w Internecie) stawiany za wzór w innych miastach. Szczególnie tam, gdzie rady dzielnic mają głównie kompetencje doradcze i mogą jedynie wnioskować do swoich rad miasta o przyznanie środków na konkretne projekty realizowane w dzielnicach.

Budżet partycypacyjny to pójdzie krok dalej - projekty przygotowane przez mieszkańców i wybrane przez nich w głosowaniu. Ten pomysł podoba mi się przede wszystkim ze względu na jego walor edukacyjny. Podczas jednego ze spotkań z osobami, które w tym roku prowadziły pilotażowe zebrania z mieszkańcami na temat budżetu obywatelskiego usłyszałem, że dyskusja wbrew pozorom wcale nie była poświęcona kwocie pieniędzy do podziału, ale raczej rozmawiano o tym, jaki jest rzeczywisty wpływ mieszkańców i urzędników na zmienianie dzielnic. Okazuje się bowiem, że to nie jest tak jak sobie z reguły wyobrażamy - wystarczają pieniądze i w dowolnie wytypowanym przez nas miejscu powstaje np. park czy plac zabaw. Podczas spotkania zebrani dowiedzieli się, że mogą decydować jedynie o terenach należących do miasta, których jest w rzeczywistości znacznie mniej, niż myśleli. Reszta terenów, które chcieli na początku zagospodarować, okazała się prywatna. Dodatkowo budżet partycypacyjny nie tylko pozwala dobrze poznać dzielnicę, ale też jest odzwierciedleniem „dużego” miejskiego budżetu. Na własnej skórze można się bowiem przekonać, że nie wystarczają najlepsze chęci czy intencje. Dobrych pomysłów jest zawsze więcej niż pieniędzy na ich realizację i najczęściej mamy do czynienia z trudnym kompromisem.



O ile nie mam żadnych wątpliwości, że budżet partycypacyjny na poziomie dzielnic jest doskonałym pomysłem, o tyle nie boję się przyznać, że waham się w sprawie budżetu partycypacyjnego na poziomie całego miasta. Dlaczego? Bo na poziomie dzielnic mieszkańcy najlepiej ocenią swoje potrzeby i najszybciej zobaczą efekt swoich starań, bo to w pobliżu ich domów zostanie zrealizowany pomysł, w który się zaangażowali. Po bliższym przyjrzeniu się sprawie okazuje się, że nawet w tych miastach, które chwalą się budżetem partycypacyjnym i które są stawiane Krakowowi za wzór, pieniądze są najczęściej dzielone przez mieszkańców wg podziału terytorialnego – dzielnic, czy też okręgów wyborczych. Dzieje się tak ponieważ małe dzielnice skarżyły się, że konkurując z większymi i gęściej zaludnionymi, nie mają szans przebic się ze swoimi projektami. Nikt mnie nie przekona, że powiedzenie „bliższa koszula ciału” w tym przypadku nie okaże się prawdziwe...

Nie ukrywam więc, że nie bardzo wyobrażam sobie dzielenia budżetu partycypacyjnego w skali miasta. I teraz przyszedł czas na zapowiadane wcześniej pytania związane z budżetem partycypacyjnym dla całego miasta: czy dobry projekt dla całego Krakowa, który miałby być fizycznie realizowany w małej dzielnicy będzie miał szansę uzyskać głosy poparcia krakowian mieszkających na drugim końcu miasta i walczących o głosy dla swojego – niekoniecznie tak wartościowego - projektu? Kolejne pytanie: jakie szanse na wypromowanie swojego, choćby najlepszego projektu, będzie miała nikomu nieznaną małą grupą mieszkańców, gdy konkurentami do zagospodarowania pieniędzy będzie zorganizowana już znacznie wcześniej grupa ludzi, aktywna na portalach społecznościach, lobbująca w mieście za korzystnymi dla tej grupy rozwiązaniami, udzielająca się w mediach i przez media promowana?

Mam nadzieję, że w przyszłym roku wszystkie krakowskie dzielnice, korzystając z doświadczeń tych czterech, które już w tym roku zdecydowały się na pilotażowe wprowadzenie budżetów partycypacyjnych, zorganizują u siebie spotkania z mieszkańcami, będą zachęcać ich do zaangażowanie się w przygotowywanie projektów. Ze swej strony mogę obiecać, że takie dzielnice będę się starał wspierać. Obiecałem kilka miesięcy temu, że te dzielnice, których mieszkańcy wspólnie wybrali zadania do realizacji zostaną dofinansowane i tak też się stało. Nie podoba mi się natomiast, że do spraw budżetu obywatelskiego już wdarła się polityka. Gdy uzgadnialiśmy z radnymi poprawki do budżetu i zgodziliśmy się wspólnie, że w poprawce należy wydzielić kwotę budżetu partycypacyjnego, jedna z radnych skomentowała – Wydarliśmy część władzy. Pomijając już wątpliwej jakości retorykę tej wypowiedzi, chcę przypomnieć, że budżet partycypacyjny, to nie są jakieś dodatkowe pieniądze wydzierane komuś. Powiedzmy to jasno i wyraźnie - to nic więcej jak inny sposób dzielenia pieniędzy, tych samych i w tej samej wielkości co do tej pory - pieniędzy z budżetu miasta. Tyle, że nie robią tego przedstawiciele mieszkańców wybrani przez nich w wyborach, a sami krakowianie. Musimy więc zorganizować to w taki sposób, by zaangażowanie mieszkańców przynosiło jak najlepsze efekty. Dlatego trzeba już w tej chwili postawić kilka ważnych pytań, by za rok spokojnie móc powiedzieć „sprawdzam”.